Nr. 36. We Lwowie dnia 8. września 1901. Rok 10.

# TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

## Z piany Egeju.

**(Baśń grecka).**

Od wichrów mroźnych północy, od grozy ludzkiej niedoli, od własnej duszy starganej i bolejącej — kędyż uciekać, gdzie znaleść zapomnienie? . . . . . . . . . .
. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Na skrzydłach myśli kapryśnie rozpostartych, przez wielką przestrzeń wieków — spłyńmy ku nieśmiertelnej krainie, gdzie słońce — bóg olśniewa swą czarodziejską pięknością i światłem, i natchnieniem!..

Przed ciche progi jasnego domu Antemijona — spłyńmy w cichości...

I.

Od gaju kolumn białych perystylu, kwitnących w górze wieńcem koryncki akantusów, ścielą się wielkie nieruchome cienie. W słońcu łagodnem, jutrznianem, oddecha piersią szeroką ostygłe w wonnej nocy głębokołonne, szafirowe morze. Żaden szlak wielubarwnych szat jego, żadne wygięcie fal, dzierzganych w gwiazdy słoneczne, jeszcze nie zblakły pod cicho dotąd marzącym wzrokiem złocistego Teba... A wśród tych kolumn, jak srebrne dęby wyniosłych, srebrzy się postać biała, snom twórczym Teba podobna; tak biała i tak promienna, tak piękna i taka boska, jakby nie z baśni ludzkiej zrodzoną była, ale naprawdę z fali srebrnorunnej, kołyszącej ją przez chwilę na ostrym grzbiecie swoim i składającej na progu domu tego, — nową perłę Olimpu i jasnej ziemi helleńskiej. Wzorzysta wschodnia zasłona, szeroko odsłonięta, nie skąpi jej różanej światła kąpieli, a nie tak się ukazuje przed wzrokiem ludzkim, jak dotąd zwykli widywać ją śmiertelni — na twardych z głazu podstawach, z dumnem i zimnem spojrzeniem, z węzłem warkoczy, spętanych, jako snop zboża zżętego. Czyli podniosło ją tu naprawdę szumiące morze i skamieniało jedyną falą spienioną u stóp jej białych, czyli wyrzeźbił ją w natchnionej chwili sam rozkochany Apollo, dość że stanęła tu na grzbiecie fali marmurowej, przejrzystej i lekkiej — sama powiewna, wysmukła i boska. W rysach jej młodocianych, w uśmiechu ust rozkosznych, w wejrzeniu źrenic niewinnych — lśnił tylko zachwyt bez miary i podziw szczęścia nagłego. Drobna jej stopa zaledwie dotykała konchy rozbitej, ramiona były wzniesione w szale świeżego, cudnego istnienia, warkocze, nie tknięte jeszcze grzebieniem złotym nimf — spływały morzem tylko rozczesane, — do morza spienionego. I taką prawdą było życie to marmurowe i marmurowa piękność, i szczęście i szał, — że egipcjanin i asyryjczyk, pers i hebrajczyk nawet, w jedynym bogu swym rozkochany, ujrzawszy bóstwo to żyjące, chociaż nieżywe — w proch przed nim by upadli. A z piersi ich, okrytych różnolitemi szaty, z ust brzmiących słowy obcemi, zgodny w zachwycie i podziwie jeden rozebrzmiał by okrzyk:

— Byłaś i jesteś, i będziesz!...

— Oby się stała Galateą twoją! — przemówił wreszcie Charmides w uniesieniu. — Odpychasz, mistrzu, sztukę od uczni twoich, gdyż tracą tu nadzieję, zamiast nabierać pewności i odwagi. Dłoń moja, myśl moja najszczytniejsza, wydają mi się w tej chwili wykradzionemi z kuźni, którą mijałem wieczorem...

— Kto wie, czybyś i ty jej nie stworzył, gdybyś tak samo mógł tęsknić do niej! — odparł z niechęcią Antemijon. — I cóż mi po niej zostaje, gdy po płomieniach twórczych chłodnę i popieleję? Marmur i marmur tylko drażniący, zimny, urągliwy. Bodaj by ten trawiony był wieczyście pragnieniem podobnem memu, kto baśń o Pigmaljonie utworzył. Jedyna rozkosz, której pożądam — jest tylko żartem złośliwym. Nie stworzę przecież takiej i nieraz pragnąłbym rozbić czoło o zimne stopy kamiennej okrutnicy! i byłem nieraz gotów rozbić ją samą na szczęty, aby nie udawała tak życia, skoro go nie posiada — i nie dręczyła mię tantalowem pragnieniem!

— Czyż nigdy nie dała ci złudzenia tych upragnionych rozkoszy żadna z cór ziemi, zrodzona z ludzi, a nie zaś z piany twej cudnej wyobraźni?

— Nigdy — żadna! — zawołał gniewnie Antemijon, targnąwszy niecierpliwą dłonią sznury zasłony.

A kiedy znikła im z oczu postać świetlana — mistrz i uczeń, dwaj przyjaciele skierowali swe kroki po nad urwisty brzeg morza, zwichrzony zda się, nagle trójzębem Posejdona.

Rzeźbiarz wyciągnął obnażone ramiona ku rannym wiatrom, rannym promieniom i falom, pierś jego odetchnęła przeciągle oddechem piersi morskiej, a oczy jego błyszczące i szafirowe, jak rozesłane przed niemi bezmierne, swieże szafiry — spoczęły zwolna na białych omdlałych skrzydłach, przybijającej nawy...

Ale wzrok jego jaśniejący nagle się zaćmił i spochmurniał. Wydało się albowiem młodzieńcowi, iż z dolnych murów Pireju spadło obrzydłe stado sępów na smukłe ciało białego ptaka — i zatopiło w nim szpony. Ciemny sznur łodzi i hałaśliwy tłum handlarzy otoczył jasny i cichy okręt. Zgiełk, potrącanie się, klątwy u stóp urwiska na brzegu, a z pod białych żagli spływa niby jęk jakiś błagalny, zamierający... Zgrzyt głosów ludzkich rozbił się ku górze aż do ścian domu rzeźbiarza i zawrzał w cichym gaju korynckiej kolumnady.

— Mylił się ojciec mój, Chojrilos, — ozwał się Antemijon odwracajęc oczy swe od morza i okrętu, — spodziewając się słyszeć tu tylko najlepsze echa ateńskie, od których nie miał odwagi uciekać dalej. Myślal, iż uniknąwszy trującej walki stronnictw, przewagi siły i fałszu, — znajdzie tu tylko ciszę i morze, i myśli własne, swobodne jak fale morskie. A jednak dosięga tu i błoto, które się przedostaje od dołu – od mrówczych zabiegów handlarzy. Być może, zresztą, że ojciec mój nie widział i nie odczuwał nic prócz morza, ciszy i myśli swojej; z Aten zaś ucho jego wchłaniało harmonję wielkich czynów i cnót, mądrości i natchnienia, nie zaś fałszywy zgrzyt ich życia, który go tu zapędził. Lecz ja — zaledwie na cuda te wzrok mój i słuch otwieram, oczy mi zasypuje zjadliwy kurz, wznoszący się od ścian Pireju, z drogi ateńskiej... A jednak nie mam sił również stąd uciec, przykuty do tego morza i tego domu. (C. d. n.)

*Janina Baudouin de Courtenay.*

# Powstanie Chochołowskie r. 46.

**Pamiętniki Jana Kantego Andrusikiewicza**

8) wydał

***Dr. Stanisław Eljasz-Radzikowski.***

Tak zwracał na wszystko uwagę, — że pałasza mojego rękojęć, która była mosiężna, gdy się przez ćwiczenie nim tak wytarła była, jak gdyby ją kto wyczyścił, zapytał mnie zaraz: „Czy się do rewolucji sposobię — że mam pałasz tak czysty?..“ Odrzekłem mu na to: „W drodze byłem, a zapewne w czasie tej — tak się wytarł...“ Od tego czasu — po każdem ćwiczeniu się bronią — smarowałem octem rękojęć — by prędko zaśniedziała. —

Tym sposobem byłbym uszedł wszelkiego podejrzenia, gdyby nie wypadek następujący:

Był w sąsiedztwie mojem o milę od Chochołowa — w Czarnym Dónajcu wtajemniczony leśniczy i aktuarjusz przy dominium — nazwiskiem Józef Woźny, człowiek ukształcony, a przytem poczciwy i dobry Polak, mający około 26 lat. Z tym byłem w ścisłej przyjaźni; bywaliśmy często u siebie i radzili o przyszłem naszem powstaniu. Z tym to właśnie przybył Goslar Julian do mnie jak wyżej powiedziałem i zostawił u niego jeden egzemplarz proklamacji do ludu Dębowskiego. On chwycił się za gorąco do propagandy, chodził po prządkach i czytał tę proklamację, która — jak mówił — ludziom się podoba. Chciał on tak lud przygotować — jak ja, ale mu nie szło, tak jak mnie, na co się skarżył, że lud gorszy od mojego, i że zepsuty.

Gdy raz — już w styczniu powracałem od synów, którzy chodzili do drugiej klasy w Nowymtargu i wstąpiłem do organisty w Czarnym Dónajcu, zastałem tam Woźnego, który właśnie tę proklamację z zapałem czytał. Zwróciłem mu uwagę aby był ostrożny, bo stał syn strażnika finansowego, chłopak 16-letni, który się uczył na organistę i słuchał tej proklamacji. Ale on nie usłuchał mojego napomnienia, i owszem powiedział mi: „Jak mnie wezmą do kozy, to mnie odbijecie. Lecz ja mu powiedziałem, — że lepiej — co my kogo, aniżeli nas kto odbije i z więzienia uwolni. Jak widziałem, że nic mu moje napomnienie nie pomogło, bo czytał dalej, więc odebrałem mu i schowałem. On się upierał — bym mu oddał, a ja zamawiałem go o czem inszem. Trwało to chwil kilka, aż nareszcie przestał się upominać. Odjeżdżając do domu – odprowadził mnie do sanek, gdzie mu oddałem tę proklamację i upomniałem, by ostrożniej działał, bo ma nad sobą Kulczyckiego — sędziego policyjnego, o którym już wyżej mówiłem, bo ks. Wilczek dziedzic, a od rządu — usufructuarjusz zwany — miał dwóch sędziów; jeden — był jego krewny mandatarjuszem i ko-

misarzem dóbr, exrespicjent fajczany, człowiek nikczemny; a drugi — sławny w okolicy Franciszek Kulczycki, był sędzią policyjnym, dlatego od ks. Wilczka przyjęty, że wiedział wszystkie wybiegi barona Borowskiego – tyczące się procesu czarno-dónajeckiego, u którego był wszystkiem, a potem barona haniebnie zdradził i przeszedł do służby ks. Wilczka. —

Kulczyckiego biografia jest krótka, ale dostateczna do poznania go:

Był już w 24 roku życia mandatarjuszem. W roku 1822 był w Wiśniczu w kryminale za skradzenie podatków, skąd wyszedł z braku dowodów. Po r. 1831 był bardzo czynnym szpiegiem i przyczynił się do wydania moskalom przeszło 100 emigrantów mocno skompromitowanych, za co od władzy cyrkularnej bocheńskiej — w nagrodę zasług położonych — w r. 1834 dekret na mandatarjusza powtórnie otrzymał. — Był odtąd mandatarem; a że nie porzucił szpiegostwa, został bez chleba i był przy magistracie bocheńskim dyurnistą.

Miał żonę — z Bochni mieszczankę, dobrą kobietę, z którą miał 7-ro dzieci i dostał do 2.000 Ry. c. m., które przemarnił. Prowadził procesa żydom i innym, z czego się najwięcej utrzymywał, a że trudnił się szpiegostwem swych przełożonych, został znienawidzony od nich i znalazł miejsce u barona Kajetana Borowskiego w r. 1840, który właśnie takiego akredytowanego u rządu i kręta — potrzebował.




Ks. KMIETOWICZ.

Gdy on przybył do barona za sędziego, było wtenczas w Dzianiszu - gdzie baron mieszkał — prawdziwe gniazdo łotrów i nie ustępowało baronom niemieckim 13 wieku —

Tu Kulczycki rozwinął swoje szelmowskie czynności tak dalece, że i żona na tem cierpiała, która wkrótce — ze zgryzoty w r. 1843 umarła. —

Jeden wypadek niech posłuży za dowód, co to za człowiek. Nie dosyć – że był szpiegiem i jeździł aż do Podwilka na Węgry szpiegować osobę — przez cyrkuł Sądecki sobie zaleconą, ale nawet będąc raz na imieninach w Chochołowie u plebana ks. Sutorskiego, ukradł mu w banknotach 385 fl. c. m., a potem — gdy się pytał pleban — przyznał się, że wziął dlatego, że mu nie chciał pożyczyć, które przyrzekł zwrócić, a potem nie chciał, i gdy go pleban skarżył, wyparł się wszystkiego.

Ten więc Kulczycki był najczynniejszym szpiegiem, ale żeśmy o nim wiedzieli co on za ptaszek, więc ostrożnieśmy rzeczy do końca prowadzili, a chłop mu też żaden nic nie powiedział, bo go nienawidził. —

Ten łotr wierutny chodził codziennie do kościoła na mszę św. nie z nabożeństwa, bo u niego nie było ani czci, a tem mniej wiary, — tylko aby ks. Wilczkowi, a i drugim łatwowiernym oczy zamydlił. —

Woźny go nie cierpiał, a musiał czasem, gdy było pisania dużo pomagać mu. Radziłem wtedy Woźnemu, aby mu basował i chodził z nim do kościoła, by tym sposobem uwagi nie ściągnął

ną siebie; tem bardziej, że już ze szkół był w podejrzeniu. Usłuchał mojej rady i postępował tak, że się zdawało, jakoby mu Kulczycki prawdziwie sprzyjał.

Przyjechała potem do niego jego matka z Z., z Wadowskiego, kobieta wiejska, staruszka, ale bardzo poczciwa, bo wiedziała o wszystkiem, gdyż ją syn uprzedził i mówiliśmy przy niej o powstaniu, a ona nie tyle nas żałowała gdybyśmy padli w czasie powstania, jak tego się lękała, by nas wprzód nie poaresztowano. Osobliwie mnie mówiła: „Gdybym była pana nie znała, tobym tyle nie żałowała, ale poznawszy teraz pana, bardzobym żałowała“. Słowem — kobieta wiejska, ale Polka duszą i sercem taka, jak i najukształceńsza. U niej to — w pierwszą niedzielę grudnia była umówiona z Goslarem Julianem schadzka.

Tę szanowną matkę zaprosiłem wraz z synem do siebie, a chcąc ją uraczyć jako Polkę, matkę prawego syna, darowałem jej obraz, malowany olejnemi farbami na płótnie, przedstawiający Matkę Boską Częstochowską w jasnych obłokach, otoczoną wokoło gwiazdami, z pod której ręki prawej orzeł biały do połowy wysunięty — skubał dwugłowego czarnego i skrzydłami trzepotał, gdy wtem z boku, z góry — biły pioruny w dwugłowego i już jeden łeb mu zwisnął, a drugi jeszcze się trzymał. Widać było piórka czarne — jak leciały na dół, które mu orzeł biały wyskubał. Pod stopami Matki Boskiej były ciemne obłoki, a pod obłokami klęczał lud polski na ziemi, z wzniesionemi rękami do góry; był zakonnik Bernardyn, chłop polski z wyproszczoną kosą, kobieta polska z dziećmi, szlachcic w kontuszu, ułan, król stary w purpurze, korona z berłem obok niego na ziemi, a pod spodem napis: „Boga Rodzico Dziewico! — módl się za nami, do Ciebie się uciekamy“. —

Dając jej ten obraz, powiedziałem, żeby na przypadek ten, gdyby się ją kto pytał: skąd ma taki obraz? — żeby powiedziała, iż kupiła na Kalwarji, albo — że od tych kupiła, co noszą obrazy na sprzedaj.

Odjechawszy do syna, zabawiła jeszcze kilka dni u niego, i miała tak, jak jutro, do domu odjechać; gdy popołudniu sypią się strażniki od naprzeciw mieszkającego Kulczyckiego, który wraz z oberkomisarzem Molitorem za strażnikami wyszedł. — Było to podobno 4 lutego. Woźny był wtenczas w domu, widział ich, i jakby wiedział — że to do niego, złapał za paczkę książek zakazanych, i nie mając czasu, wyniósł je do gospodarza — przez sień mieszkającego i tam, w jego łóżku w głowę schował, wracając zaraz do siebie. Ledwie był w stancji, w której i matka jego była, gdy usłyszał i zobaczył strażników około okien, w sieni, aż i oberkomisarza z Kulczyckim, za którym rój strażników wlazł i zaczął szukać w każdem miejscu, gdy tym czasem oberkomisarz z Kulczyckim — listy i papiery przeglądali. — Znaleziono wyżej opisany obraz zwinięty w trąbkę; zapytano Woźnego — czyj jest? który powiedział — że matki, a na zapytanie: skąd go ma? odrzekła, że jadąc do syna — kupiła go na drodze za dwa dwacatniki od tego — co obrazy nosi. Gdy jej powiedziano — że to jest bardzo rewolucyjny obraz, odpowiedziała — że ona nie wie — że taki jest, tylko widziała że jest Matka Boska, ten gołąbek to Duch święty, a to czarne — to wrona, a ci ludzie na dole — to że się modlą i zdaje jej się — że to bardzo śliczny obraz, na którym nie ma nic złego. —

Szukano ściśle, lecz nic nie znaleziono w pomieszkaniu Woźnego; udały się więc psy gończe do pomieszkania gospodarza, któremu wszystko poprzewracawszy, tylko jedynie łóżka tego nie ruszyli, w którem książki były, jak gdyby ich co zaślepiło; i nic nie znaleźli tak na strychu, stodole, stajniach, bo jużcić cóż było znajść, kiedy nigdzie nic więcej nie było, tylko jedynie ten obraz. —

Z początku myślał oberkomisarz doprawdy, że ten obraz matka kupiła, ale gdy mu Kulczycki podszepnął, że to Woźny malował, bo był na technice w Wiedniu, i różne do budownictwa abrysy robił w Czarnym Dónajcu, powstał oberkomisarz na niego, i zaczął krzyczeć, aby się przyznał — że on robił ten obraz, że on, (tj. ob. komisarz) wie o wszystkiem — co on tu robi, że ma książki zakazane i że niedawno jednę taką buntowniczą czytał u organisty, którą mu Andrusikiewicz wydarł. —

Gdy Woźny o niczem wiedzieć nie chciał, skuto go i wzięto z sobą do Nowegotargu. — Matka jego będąc wolną, posłała natychmiast dwóch konnych posłańców chłopów, a każdego inną drogą do mnie, którzy w nocy, około godziny 11-ej prawie wraz przybyli, a uwiadomiwszy mnie — odjechali.

Ja byłem przygotowany na podobną wizytę i nic nie miałem w domu. — Ale — że byłem dniem wprzód na Węgrzech i tam kupiłem kilka funtów prochu, lotek, jako też kilka garncy wina i 8 funtów dobrego tytoniu, co wszystko przez komorę w nocy — dla nastąpić mającego powstania przemyciłem, a co wszystko miałem jeszcze w domu, i sztylet, który wraz z prochem i lotkami schowałem, a książki, które były u chłopów — kazałem najściślej schować. —

W nocy, — czy to z przeczucia, czy z wrażenia tego, że mojego poczciwego Józka uwięzili, miałem okropny sen, który mie niezmiernie zmęczył; bo śniło mi się, że mię pokaleczywszy, okrutnie się nademną pastwili. Ja w tym śnie tak się z niemi okropnie szamotałem, żem się aż obudził, a obudziwszy się jeszcze mi się zdawało, że się z nimi szamocę. — Lecz wstawszy, przypomniałem sobie przysłowie: „Sen mara Bóg wiara.“ —

Tymczasem ob. komisarz odwiózłszy Woźnego do Nowego Targu i przywiózłszy ten obraz, otrzymał od będącego tam już od początku grudnia komisarza cyrkularnego Maresza rozkaz, aby

matkę aresztował, a u mnie — by rewizję zrobił i znalazłszy co, by mię także przywiózł. —

Ten oberkomisarz jadąc z swojemi — psinkami — wstąpił po matkę Woźnego w Czarnym Dónajcu, która godziną wprzód do domu o 7 mil od Czarnego Dónajca w Wadowski cyrkuł odjechała. — Natychmiast wysłał w pogoń za nią respicjenta Ulachtę z 3 strażnikami, którą, aż do własnego domu pędzili i tam zaaresztowali, — gdzie ona o godzinę wprzód stanęła. — Tutaj jeszcze uczęstowała ich kawą i co było w domu, potem siadła na wóz, gdzie obok niej, 3 strażników z najeżonymi bagnetami siedziało, a respicjent na osobnej furze za nią jechał, i tak, pod taką eskortą kobietę wiekową przywieźli do Czarnego Dónajca i w pomieszkaniu syna osadzili, gdzie jeden strażnik przy niej z karabinem na warcie był. Kulczycki chodził do niej ubolewał nad nią, radził jej by się przyznała, bo się już jej syn przyznał, że on ten obraz malował, tylko od niej zawisło uwolnić syna i siebie, żeby tylko zeznała, — że on go malował. — Tem wewnątrz strzeżeniem i losem syna tak się biedna matka zmartwiła, że niebezpiecznie zachorowała. —

Lecz wracam do rzeczy. — Gdy oberkomisarz wyprawił respicjenta, zaraz wziął z sobą Kulczyckiego i przyjechał do Chochołowa przed kasarnię strażników; stanął; on i strażnicy zleźli i nuże szybkim krokiem ku mojemu domu. — Ja właśnie po szkole byłem i zacząłem jeść rosół, gdy puka ktoś na drzwi, ale nie czeka — aż powiem, że wolno; wchodzi figura — chustką zieloną zamatulona, przy szablinie i mówi mi, że jest oberkomisarzem z Nowegotargu a zarazem mówi mi, żebym mu dał tę książkę, com przed parą tygodniami wziął Woźnemu, gdy tę czytał u organisty w Czarnym Dónajcu. — Ja powiedziałem żem nie słyszał Woźnego — aby tam co takiego czytał, a tem mniej, abym mu jaką brał. — Rozgniewał się; zapytał — gdzie jest mój stolik do pisania? —

Właśnie w tej chwili weszli oberstrażniki, Kulczycki, a w sieni, koło okien było pełno strażników. Kazał zaraz szukać w stoliku, dalej szafę z książkami otworzyć musiałem, których przeszło 600 sztuk było; przeglądał sam niemieckie, a inne strażniki. Znalazł Lafontaina jakąś — bo tytułu nie pamiętam i mówi — że zakazana; jam odrzekł — „że nie wiem“. Kazał sobie pokazać rejestr książek — który miałem, i szukał, aż tę zaciągniętą znalazł; poczem powiedzał: „stąd wnoszę, żeś pan nie wiedział że zakazana, bo byś jej w rejestr nie zaciągnął“, — ale jej też i nie wziął. —

Szukali w fortepianie, siennikach, poduszkach, kołdrach, pod podłogą, i gdzie tylko jakie miejsce było — do mego domu należące, a Kulczycki tymczasem mówił mi, „że nie wie co się to dzieje, bo Woźnego wzięli i siedzi w kajdanach okuty w Nowymtargu“. — Ja zdziwiłem się — niby nie wiedząc o niczem. — Prosił mię Kulczycki, — jeżeli mam wódkę i kawałek chleba — abym dał, bo głodny, gdyż obiadu nie jadł i niby nie wiedział — gdzie miał jechać. — Dałem chleb, masło, zamiast wódki — araku, przyniosłem z przemyconego wina bardyjówkę, z którego oberkomisarz się napił, a Kulczycki araku.

(C. d. n.)

10)

# O wpływie trunków alkoholicznych

## *na organizm zwierzęcy i ludzki.*

Wyobraźnia pod wpływem działania alkoholu pozbywa się kierowników i hamulców swoich zwykłych, t. j. rozumu i instynktów. Pijany traci zeznanie czasu, miejsca, otoczenia, traci poczucie prawd, zdobytych przez naukę i przez doświadczenie całych pokoleń. Widzi się przeniesionym w krainy fantazji, w zaziemskie nieraz sfery, spostrzega np. dno u bezdennego nawet piekła, patrzy na zawieszone chóry aniołów w powietrzu i to go wcale nie dziwi, wyobraża sobie trony Bogów masywne, stojące na oparach mglistych. Wszelkie prawa natury nie egzystują dla niego, buduje więc koleje żelazne do nieba i pędzi ciężkie lokomotywy po pierzastych obłokach, śnią mu się ciała wielowymiarowe, wierzy w możność objawiania się duchów za pomocą wirujących stolików, z nieba odbiera zlecenia, staje się prorokiem.[1])

---

[1]) W czasie mego pobytu na Syberji i na Kamczatce, miałem nieraz sposobność obserwowania jasnowidzących i cudotwórców, byli oni albo sami alkoholicy, albo pochodzili od rodziców alkoholików nałogowych.

Jeden z obywateli Syberyjskich, niejaki Zenzinow, amator gorzałki, był jasnowidzącym w materjach leczniczych. Leczył, według przepisów z nieba mu

objawionych, chorych na raka, na syphilis. Urządzał wanny „elektryczne“ naładowane elektrycznością „swoją własną“ etc. Córka popa, pijaka nałogowego, otrzymywała rozkazy od jakiegoś świętego, który jej jednak imienia swego nie chciał objawić. Prorokowała ona i starała się szerzyć nową religję jej objawioną, której treść cała zasadzała się na zmianie porządku zdań w pacierzach codziennych.

Sławny dzisiaj w Rosji europejskiej „Atiec Iwan Kronsztackij“ należy do tej samej kategorji cudotwórców i jasnowidzących. Opowiadają o nim najrozmaitsze dziwolągi, ostatni, opowiadany teraz na Litwie wart wspomnienia:

Ów „ojciec z Kronsztatu“ zblamował się srodze przepowiednią przedwczesną o przyjściu na świat potomka płci męskiej, jako następcy na tron cesarki i tem dał dowód, że jakkolwiek ma ciągłą i bezpośrednią łączność z niebem za pośrednictwem alkoholu, ale wiadomości przez niego stamtąd przynoszone są nie pewne.

Obok proroctwa, drugiem wielkiem nieszczęściem narodów jest szowinizm plemienny. Tak np. woła poeta natchniony:

Kalena Rossy prekłanitie,
Błogogowiejnyj, drużnyj sonm,
Na niebo myśl i um wpierytie,
Twaryś twarcu chwalenja grom.
Nie on li czudno nas izbawił,
At groznych szczastja peremien,
Sabliuł w gadinu zoł, presławił,
I wysze wsiech waznios plemien.

Szowinizm taki plemienny, czyli optymizm egoistyczny, wyskokowy, wyrażony w odzie wyżej cytowanej jest najczystszym rezultatem alkoholizmu. Rozum nie zamroczony trunkami, szowinizmem się brzydzi, natomiast pod wpływem napojów wyskokowych, nim się lubuje, to też można śmiało powiedzieć, że gdzie brudny egoizm występuje w szowinistyczne szaty odziany, tam jest on wszędzie i zawsze dzieckiem alkoholizmu, jak na to pomiędzy innymi mamy dowód i w następującym liście otwartym. List to ciekawy, bo pisany przez rosyjskiego Niemca, w rzekomym interesie Słowian. Rzeczową niewiedzą, kłamstwem na wskróś przesiąkły, szowinistyczny w stopniu, na jaki tylko optymizm wyskokowy zdobyć się może, daje on nam w pewnej mierze możność oceniania zakresu złudzeń alkoholików. Rezejrzmy się więc w tym dokumencie oryginalnym i popróbujmy opatrzyć go komentarzami odpowiednymi. „Pozdrowienie Czechom!“ (Woła prorok natchniony).

„Przybyłem z dalekiego wschodu słowiańskiego, z głębi drzemiących lasów, (których autor listu nigdy prawdopodobnie własnem okiem nie widział, bo jak wszyscy podróżujący generałowie rosyjscy, spał zawsze snem alkoholicznym ukołysany w tarantasie, albo w wagonie podróżnym), przybyłem z zimnej północy i bezgranicznych stepów morza Czarnego. Jestem tu aby przekonać was o naszej ku wam miłości rosyjskiej. (Przymiotnik dodany w tem zdaniu jest bardzo potrzebny, bo trzeba wiedzieć, że miłość rosyjska jest inną, niż zwykła ludzka) i przyszedłem oświadczyć, że możecie w zupełności zaufać potędze rosyjskiej, (szczególnie wtedy, gdy ta potęga spoczywa w ręku Niemców), lecz i przypomnieć wam jednocześnie muszę, że należy wam poznawać i zaznajamiać się z tą niezmierzoną ziemią rosyjsko-słowiańską, (szczególniej zaś z tą częścią jej słowiańską, którą zamieszkują Burjaci, Mongołowie, Korejczycy, Mandżurowie i Chińczycy).

Wy Czesi znajdziecie tu wszystko, czego szukacie i o czem marzycie, (więc wolność najzupełniejszą, poszanowanie języka, zwyczajów, wiary wszystkich plemion i narodów, samorząd najzupełniejszy, sprawiedliwość wzorową, uczciwość nieposzlakowaną, trzeźwość idealną), a nawet znajdziecie więcej niż moglibyście przypuszczać, (bo niewolę najohydniejszą, niesprawiedliwość okrutną, przedajność powszechną, pijaństwo i rozpustę ogólną, prześladowanie wiary, narodowości, języka, jak gdyby to było u Niemców). Znajdziecie niewyzyskane bogactwa przyrodzone, (w powietrzu, ziemi, ogniu i wodzie, czyli tych elementach, które ze stanowiska generalskiego znać mi tylko wypada), znajdziecie pracę dla ducha i rąk, (szczególniej wtedy, gdy zasłużycie, ażeby wam powierzono urzędy: popów, isprawników i stanowych, słowem gdyby was dopuszczono do posad intratnych). Znajdziecie postęp pod względem przemysłowym i gospodarskim, (ujawniający się szczególniej w najzupełniejszem zubożeniu włościan), znajdziecie i uznacie również w ludności tutejszej siłę i samodzielność, (czyli jedyny, ale potężny heroizm niewoli). Ciągle wzrastająca siła i samodzielność rzeczona, zakorzeniają się tu w tem przekonaniu, że wszystkie pojedyncze jednostki narodowe powinne służyć ludności: (czynowniczej i popowskiej).

U nas wszystko czyni się dla ludności: (czynowników i popów). Samowładczy nasz cesarz również jest przejęty miłością dla narodu: (popów, generałów i czynowników), tak samo jak bojar, jak bogaty, jak ubogi. W tej powszechnej miłości narodu (rzeczonego) tkwi wewnętrzna nasza siła, gdzie zaś panuje siła wewnętrzna, tam wystarczy nieznaczny powód lub wypadek, ażeby przejawiła się ona na zewnątrz. (Tak, gotowiśmy w wypadku zgonu najjaśniejszego sąsiada naszego, oby mu Bóg użyczyć raczył jak najdłuższe lata, gotowiśmy powiadam przyjąć na łono nasze was Czechów, ukochanych miłością rosyjską, i naszą Ruś umiłowaną, tęskniącą do nas nieustannie, lecz dziś jęczącą pod strasznem jarzmem despotyzmu niepoprawnych Polaków, tych odrodnych synów słowiańszczyzny, którzy dotąd pojąć tego nie mogą, że jedyna prawdziwa wiara — jest prawosławna, jedyny jezyk kulturalny — jest kazionny, jedyna racjonalna forma rządu — jest samodzierżawna). Ale jest to nie tylko siła fizyczna niepokonana (o której mowa), lecz i moralna, współczująca każdemu uciskanemu, i gotowa zawsze go podtrzymać: (I tak współczujemy Finlandczykom, uciskanym przez Szwedów i podtrzymujemy ich, odbierając samorząd i wprowadzając porządki nasze; współczujemy Litwinom, Żmujdzinom, Białorusinom, uciskanym przez Polaków i podtrzymujemy, starając się o ich „abrusienje“; współczujemy Rusinom, uciskanym przez ich własnych patrjotów i podtrzymujemy zabraniając mówić i pisać po małorusku; to samo czynimy z Czuchnami i Łotyszami, uciskanymi przez Niemców nadbałtyckich, z Burjatami uciskanymi przez ich Szamonów i Lamów, wogóle współczujemy wszyst-

kim, licznym plemionom nam podwładnym, uciskanym przez ich głupotę, czyli pragnienie swobód i podtrzymujemy, zakorzeniając w nich miłość do narodu czynowników i popów. Po za granicami państwa naszego współczujemy Czechom, uciskanym, przez Niemców, Słowakom, uciskanym przez Węgrów, Rusinom, uciskanym przez Polaków, Bulgarom, uciskanym przez Turków, Indjanom uciskanym przez Anglików, Morokańczykom uciskanym przez Francuzów. Boerom, Kubańczykom, Filipińczykom, słowem wszystkim uciskanym i podtrzymujemy ich jak możemy, to rublami, to cichą agitacją za pomocą naszych sprytnych agentów; czynimy to wszystko przez współczucie do uciskanych i dla ich podtrzymania, czyli wprost z platonicznej rosyjskiej miłości, właściwej naszej szerokiej naturze). To też tylko zaznajomiwszy się bliżej z Rosją, wy Czesi przekonacie się gdzie tkwi źródło rzeczywistej siły słowiańskiej i potęgi, (tkwi ono w zaborach, konfiskatach, kontrybucjach; wszyscy nasi generałowie, książęta, hrabiowie, Bojary tuczni są majątkami polskimi, wszyscy czynownicy wypaśli się na urzędach w krajach zabranych. Cerkwie nasze są to zabrane kościoły katolickie. Ucz się tedy u nas Czechio!) Tem zwyciężysz (czem i my zwyciężyliśmy). Życzę Wam z całego serca, ażeby Bóg wskrzesił narodowość czeską, (tak jak pragnę najgoręcej, ażeby on wskrzesił narodowość polską, litewską, rusińską, finlandzką) i pozwolił Czechom zaznać prawdziwej wolności narodowej, (takiej samej, jaką dziś mają Polacy, Litwini, Rusini u nas); ażeby wzmocnił wasze samopoznanie, (czyli zrównał je z naszem), rozszerzył oświatę, (by stała ona na tym samym poziomie, jaki zajmuje u nas), i język wasz, (ażeby się zlał z naszym, jedynym prawdziwym słowiańskim, bo jedynym godnym ust carskich). Życzę żeby Bóg dał wam obfitość dóbr ziemskich, a osiągniecie też Czesi wówczas, kiedy handlowe wasze stosunki sięgać będą z jednej strony Adrjatyku, z drugiej zaś strony Oceanu spokojnego, (czyli naszych granic państwowych zachodnich i wschodnich, południowemi zaś będą: Morze Czerwone i Ocean Indyjski). Amen amen!

Wierzcie powiadam wam (albowiem jam prorok natchniony,) zdajcie się na Boga ziemi rosyjskiej (on jest jedyny prawdziwy) on jest wielki, on stworzył naszą potężną Rosję słowiańską, (świat cały jest tylko dla niej, nikt inny panować niema prawa, jak tylko car prawosławny i my jego słudzy czynownicy „korzenni“ słowianie: Rittichy, Kaulbarsy, Korfy, Fittingofy, Falzfejny, Chercheulidzowie, Kaparakowie, Asłambegowie i inni podobni najczystszej krwi słowianie)“. Ton cały tego listu zdradza alkoholika; komentarze, które dodałem, może potrafią uwidocznić granicę, pomiędzy snem wyskokowym a rzeczywistością, zarazem wskazać będą mogły kierunek myśli nie wypowiedzianych w liście, zapewne tylko przez skromność.

Zdawałoby się rzeczą niemożebną, ażeby list generał-lejtenanta Ritticha mógł być inaczej interpretowany, aniżeli w sposób, wskazany powyżej, a jednak redakcja czasopisma „Now. Wremia“, tak o nim pisze. „Co się tyczy Czechów... to dla nich pełen prześlicznych zwrotów list generała rosyjskiego, stanowi doskonałe uzupełnienie uroczystości sokołów“.

Takie przekonanie danego plemienia, że należy ono do najbardziej umiłowanego przez Boga, i że sam ów Bóg jest najprawdziwszy, stanowi jedną z najgłupszych cech głupoty ludzkiej, a zarazem jedną z najszkodliwszych przywar społeczeństw nowożytnych. Te nawrócenia ludów, czyli kazanie im wierzyć w legendy, osnute na tle zupełnie różnej od ich cywilizacji, było zawsze powodem, a najczęściej pretekstem tylko, do gwałtów najhaniebniejszych z jednej strony, z drugiej znowu strony służyło do rozbudzenia szowinizmu religijnego, prostaczego i z tej racji wstrętnego nad wszelki wyraz.

Gdy z jednej strony alkoholizm wywołuje zjawiska jasnowidzenia, z drugiej strony wytwarza on głupie rzesze, wierzące ślepo w każde najnieprawdopodobniejsze kłamstwo, albo przywidzenia i halucynacje alkoholików. Wiarę w dzisiejszym wieku „superalkoholizmu“, mienią podstawą wiedzy, i ludzie głoszą najuroczyściej, że tylko ta wiedza jest dobrą, która jest oparta na wierze, tymczasem rzecz się ma odwrotnie, bo ta wiara może być tylko dobrą, która się opiera na wiedzy, żaden dogmat nie powinien być skamieniałym czy on dotyczy wiedzy, czy wiary; skamienienie oznacza śmierć. Prawda czyli treść wiedzy przeobraża się, rozwija, rośnie i rozmnaża, dogmat skamieniały jest trupem, zdał się tylko do archiwum, gdzie jako materjał dla historji wiedzy ludzkiej świadczyć może o danym stopniu rozwoju naiwność człowieka w pewnym perjodzie życia społecznego.

(C. d. n.) *Dr. Benedykt Dybowski.*

---

## Z pism i książek.

*A. Rembowski: „Z życia konstytucyjnego Księstwa Warszawskiego“, Kraków r. 1900.*

Autor nie po raz pierwszy zabiera głos w sprawie dziejów Księstwa. Gdyby można było zjawisko dane uogólnić — rzecby można, że prawnicy częściej zajmowali się dziejami porozbiorowemi niż historycy fachowi: związek z obecnem życiem prawnem społeczeństwa przypominał im ciągle czasy Księstwa i Kongresówki, czasy wprowadzenia i unarodowienia Kodeksu Napoleona. Praca obecna p. Rembowskiego rozpada się na 3 części, z których tylko druga odpowiada nagłówkowi pracy, pierwsza jest wstępem politycznym, trzecia dodatkiem.

W tym wstępie autor omawia genezę Księstwa, dzieło Tylżyckie. Z uznaniem podnieść należy ten realizm polityczny z jakim autor traktuje politykę polską Napoleona w r. 1807 i nie znajdujemy tutaj ani śladu dawnych żalów Skarbka, jest spokojne, czysto rzeczowe osądzenie sprawy. Ale na tem kończy się cała wartość rozdziału. Autor nie zna właściwej genezy Księstwa mimo to, że praca jego ukazała się w druku już po wyjściu pracy gen. Szildiera o Aleksandrze I., pracy, w której powstanie Księstwa znalazło ostateczne i proste rozwiązanie.

Napoleon ofiarował w Tylży Aleksandrowi dwa ostatnie zabory pruskie, ofiarował w myśl dawnych planów polskich Aleksandra z r. 1805, o których wiedziała dobrze dyplomacja francuska. Ziemie polskie miały być złączone w formie unji personalnej z Rosją, miały otrzymać konstytucję zbliżoną może, w myśl planów ks. Adama Czartoryskiego, do konstytucji 3-go Maja.

Uprzedzał więc Napoleon w ten sposób dzieło Kongresu Wiedeńskiego. Tylko że teraz dar otrzymywał zwyciężony, nie zwycięzca, otrzymywał kraj z wojskiem i narodem podnieconym ruchem r. 1807 a gwarantem stanu rzeczy miała być nie Europa kongresowa, ale zwycięzca z pod Frienland.

Aleksander daru nie przyjął, podał natomiast plan stworzenia organizmu przejściowego, któryby z czasem mógł przypaść Rosji. Aleksander więc, a nie Napoleon, jest istotnym twórcą Księstwa.

W ten sposób wyjaśnienie swe znajduje i wiadomość podana przez Ogińskiego i twierdzenia ks. Adama Czartoryskiego.

Bez tego zasadniczego wyjaśnienia — pierwszy rozdział pozbawionym został wszelkiej wartości naukowej; jest on tylko dość chaotycznym zbiorem cytat w którym nieproporcjonalnie dużo miejsca zajmują bezczelno-utopijne plany pruskie, plany, ważne może ze względu na politykę pruską po Austerlitz, na osobistość ks. Antoniego Radziwiłła, ale po Frienland mające, jak to słusznie stwierdza historyk rossyjski, zasługę wyjątkowej tylko bezczelności inicjatywy.

Ciekawym natomiast i cennym przyczynkiem do wewnętrznej historji Księstwa jest drugi rozdział. Korzystanie z wyników tej pracy jest coprawda dość utrudnionem dzięki niefortunnej metodzie pisania autora, podaje on całe mnóstwo cytat, nie uważając za stosowne ugrupować je i oświetlić w myśl choćby tego sądu, który wypowiada w końcu rozdziału; wskutek tego praca robi wrażenie chaotycznej, gdyż ważniejsze rysy znikają traktowane w ten sposób co i podrzędne.

Autor zwalcza rozpowszechnione mniemanie o zbytnim pośpiechu w zredagowaniu konstytucji r. 1807. uważa ją za dzieło dobre, stwierdza w szeregu cytat, że ustawa ostatecznie dobrze przyjętą została w kraju przechodzi następnie do sprawy rozwinięcia ustawy, i tutaj znajdujemy najciekawsze dane, wydobyte bądź to ze źródeł rękopiśmiennych, bądź też z rzadkich dziś druków.

Ta praca rozwinięcia ustawy r. 1807. jest ostatecznie pracą zorganizowania gmachu Księstwa; ogólnikowość ustawy zostawiała prawie zupełną swobodę działania owoczesnym mężom stanu. Odzywały się nieraz głosy za tem, że ustawa, że wzory francuskie winny być obowiązującemi. Nie krępowano się jednak tym względem i naogół nawracano do dawnych polskich tradycji.

Takie stanowisko zajęto w sprawie Dyrekcji oświaty, w sprawie korporacji etc. Nieraz korzystano z wzorów francuskich, ale wtedy korzyść ich zastosowania w kraju była widoczną.

Autor podał jeden ciekawy aczkolwiek przykry szczegół tej pracy nad rozwinięciem ustawy r. 1807. Konstytucja ogłaszała wolność osobistą włościan, a równocześnie w myśl zasady równości wobec prawa, wyzwalała ich z pod sądownictwa patrymonialnego.

Była to dyrektywa tylko, wszystko zależało od wykonania, od przepisów szczegółowych. P. Rembowski zaznacza słusznie, że z ducha ustawy wynikało jeśli nie oczynszowanie, to przynajmniej państwowe uregulowanie i oszacowanie powinności pańszczyźnianych. Byłyby to jednak zmiany zbyt głębokie dla ówczesnego zrujnowanego ziemiaństwa, zbyt ciężkie do wykonania dla nowopowstałego organizmu państwowego. To też, rozwijając ustawę w tym względzie, utrzymano ostatecznie stosunki pruskie.

Dekret z r. 1807 uznał, że ziemie chłopskie i gromadzkie należą do dworu.

W niektórych okolicach, na Kujawach np., szlachta zaczęła przyłączać grunta chłopskie do folwarcznych i chłop w myśl ustawy był wolnym, uwalniano go więc od posiadania ziemi.

Prawo cywilne francuskie, nie dawało szlachcie egzekucji w sprawach pańszczyźnianych — musiano więc na razie zostawić jej część władzy patrymonialnej nad chłopem. Oddziaływało tutaj ujemnie postawienie szlachcica na czele gminy.

Nie bierzmy zbyt do serca tego odstępstwa od zasad sejmu czteroletniego, stan ten rzeczy wynikał raczej z niemożności prędkiego rozstrzygania tylu naraz spraw, zaprowadzenia nowych urządzeń, niż ze zmiany nastroju szlachty. Autor jest tutaj zbyt pessymistycznym, zbyt mało rachuje się z owoczesnymi warunkami krajowymi.

Ciekawym jest również szkic stopniowego wzmagania się znaczenia sejmu, wzmagania się wbrew konstytucji, a w myśl dawnych tradycji. Szkoda tylko, że autor nie oświetlił nam wcale dążeń opozycji ówczesnej sejmowej, ograniczył się tylko na cytatach.

Szkoda również, że nie ujął w jakąś więcej organiczną całość tego stopniowego wyrabiania się całego organizmu państwowego od Rady stanu począwszy, a kończąc na opozycji sejmowej.

Opinja kraju wytwarza się stopniowo, nabiera coraz więcej realizmu politycznego i coraz silniej oddziaływa na Rząd. Dowodem inicjatywa i działalność Rad departamentowych.

Ostatni rozdział pracy p. Rembowskiego poświęconym jest Konfederacji Generalnej. I o tym rozdziale musimy to samo powiedzieć co i o pierwszym: jest on zbiorem cytat, nie daje żadnego obrazu, powtarza rzeczy dawno znane, dawny sposób ujęcia wypadków.

A przecież już prace prof. Askenazego na podstawie ogólnego charakteru walki r. 1812. wyjaśniły przyczynę, dla której zakrojona tak poważnie akcja warszawska, zeszła do roli tragikomedji.

W pracy p. Rembowskiego tylko część prawnopolityczna, tylko drugi rozdział ma wartość, tam gdzie wchodzi w grę polityka — autor nie stoi na poziomie wiedzy dzisiejszej.

*Wacław Tokarz.*

**Z drukarni W. A. Szyjkowskiego Lwów, ul. Kopernika 5.**